Dodatek do 103. Nru „Dziennika Krakowskiego"

z dnia 3. maja 1896.

Dzwonek topielców.

Fantastyczne opowiadanie

Kazimierza Tetmajera.

Była wieś nad rzeką, która się w jednem miejscu rozlewała w szeroką, mętną, prawie nieruchomą głąb wodną. Po prawym brzegu tej głębi był kamieniec pusty, rozległy, potem widać było wzgórza położyste, nagie, potem lasy i góry; po lewym rosły z rzadka jałowce, drobne świerki i modrzewie, a dalej czernił się las. Na tej stronie, na samym skraju usypiska nad wodą, stała kapliczka. Była ona okrągła, pobielona wapnem, które gdzieniegdzie popękało w długie szpary, lub odpadło z siwego kamienia, przykryta stożkowatym szpiczastym dachem, z ośniedziałej blachy; na szczycie dachu sterczał czarny, zardzewiały, żelazny krzyż.

Wejście do kapliczki było niskie, wycięte w łuk; wewnątrz, na kamiennej, pogruchotanej podłodze, stała wąska, drewniana ławeczka. U góry na poprzecznej belce, wisiał dzwonek, od którego sznur opadał tak, aby siedząc, można było dzwonić.

Nikt nie pamiętał kiedy w zimową noc, wesele przejeżdżając przez zamarzniętą ową głąb wodną, załamało się i poszło pod lód, ludzie i konie. Było to bardzo dawno. Na tę smutną pamiątkę wystawił ktoś kapliczkę i co wieczora dzwoniono w niej na modlitwy za dusze zmarłych bez ostatniego namaszczenia. Dzwonek nazwano dzwonkiem topielców.

Zawsze we wsi był dziad, który za pewnem fundacyjnem wynagrodzeniem chadzał dzwonić nad rzekę. Zdarzyło się, że kiedy jeden z takich dzwonników umierał, zgłosił się o tę służbę parobek, zwany powszechnie Grzesiem Mizerakiem.

Ten Grześ Mizerak był synem bogatego rolnika, ale kiedy rodzice umarli, starszy brat wyzuł go z ojcowizny, wygnał z domu, a na dobitkę zabrał mu upodobaną dziewczynę i sam się z nią ożenił.

Został tedy Grześ na szerokim świecie bez dachu nad głową, bez nikogo przy duszy, ze złością i okrutną zawiścią w sercu.

Tułał się, wałęsał, do roboty najmował, ale niepowodzenie go ścigało, iż tak wychudł i zbiedniał, że go Mizerakiem przezwano. Zemstę bratu poprzysiągł na wieczne czasy, na życie i śmierć.

Zostawszy dzwonnikiem, najął sobie Grześ izdebkę u grabarza na końcu wsi i ztamtąd, robotę najemną odbywszy, szedł o zmroku po odzwonieniu w kościele na Anioł Pańtki, dzwonić za dusze topielców.

Jednego razu, kiedy wracał do domu, wybiegła naprzeciw niemu grabarzowa, wołając zdaleka: Nieszczęście was spotkało, brat się wam utopił!

Grześ przystanął: Brat? — spytał, jakby nie mógł uwierzyć.

Grabarzowa zaś mówiła: A dy wam mówię brat. Jechał z drzewem z lasu, pod samą kaplicą ziemia się oberwała i wóz wpadł we wodę. Widział to leśny, ale nim przylecieć zdołał, już się skończyło. Ludzie choć ciało wyłowić próbowali — i to próżno.

Grześ słuchał, jak osłupiały. Nie rzekł nic i poszedł ku swojej izdebce.

Zadzwonicie dziś i bratu, Mizeraku — ozwała się z westchnieniem grabarzowa, ale Grześ nic jej nie odpowiedział. Wszedł do izdebki, zamknął za sobą drzwi i siadł na barłogu, na którym sypiał.

Czas jakiś siedział tak, zupełnie zapamiętany: myśli mu się mąciły, nie wiedział, czy się cieszy, czy martwi? Aż nakoniec splunął i rzekł półgłosem: Dobrze mu tak!

Po chwili głośniej powtórzył: Dobrze mu tak krzywdzicielowi!

Wielki kościelny dzwon począł bić na Anioł Pański. Grześ, oparłszy brodę na rękach, słuchał. Nie klęknął, jak zazwyczaj, nie modlił się, tylko słuchał. Dzwon dzwonił, wydawało się Grzesiowi, posępniej, niż zwykle. Wstał wreszcie. Teraz była pora iść do kaplicy.

Ale Grześ nie wstawał z barłogu, tylko z brodą na rękach opartą siedział i patrzał w ziemię. Zeszło tak sporo czasu, na koniec Grześ mruknął przez zęby: Niedoczekanie jego! Krzywdziciel zatracony! Dziś by i za jego duszę było...

Splunął, rzucił się na barłóg i odwróciwszy twarz ku ścianie, chciał spać. Nie mógł jednak, znowu siadł jak pierwej i patrzał w ziemię.

Był to słotny dzień jesienny. Wiatr szumiał ponuro i wył, drobny deszcz dźwięczał na szybie jednostajnie i smutno.

Ściemniało się coraz więcej.

Nie pójdę! — rzekł do siebie Grześ.

Próbował znowu usnąć i znowu nie mógł wyleżeć — coś go dźwigało ze słomy.

Nakoniec i siedzieć nie mógł. Niepokój go jakiś ogarniał coraz to więcej i więcej; podniósł się i stanął przy oknie. Na polu było prawie ciemno.

Ale i tu wytrwać nie mógł długo. Wydawało mu się, że nim coś owładnęło. Wyszedł przed izbę — wyraźnie go coś zaczęło pchać naprzód, przed siebie. Szedł na chodnik, którym się szło ku kapliczce. przez pastwiska.

Przystanął i rzekł: Nie pójdę! — i znowu szedł dalej.

Coś go pchało naprzód.

Za pastwiskiem zamajaczyły w mroku rosnące zrzadka jałowce, świerczki drobne i modrzewie. Już było słychać szum rzeki.

Niebo rozjaśniło się nieco i w górze pokazał się księżyc, okrągły, mglisty, ołowiany.

Grześ nie zdawał sobie sprewy, co się z nim dzieje. Czuł w sercu okrutną, chłopską zaciekłość ku nieboszczykowi bratu i jednocześnie jakiś mus zbliżania się ku kapliczce.

Wtem drgnął i stanął: wydało mu się, że oprócz szumu wody i wiatru, słyszy głos jakiś, jakiś dźwięk.

Zląkł się i chciał zawrócić, ale owa dziwna moc, która nim owładła, pchnęła go naprzód.

Tymczasem dźwięk stawał się coraz wyraźniejszy — to był dzwonek.

Grzesiowi włosy podniosły się na głowie; między świerczkami zabieliła mu się martwą białością, w księżycowym poblasku kapliczka nad głębią.

Pot zimny wystąpił mu na czoło, a w piersi zatamował mu się oddech: w kapliczce był ktoś i dzwonił.

Stanął i jeszcze raz chciał zawrócić, ale jakaś ciekawość przeraźliwa i straszna zmusiła go iść dalej. Był już przy drzwiach schylił się, zajrzał — i rozkrzyżowawszy ręce w górę, cofnął się raptownie w tył. Na ławeczce siedział jego brat, nagi, opuchły, rozdęty wodą, z przylepionemi do karku mokremi włosami i obwisłemi wąsami, trzymając w obu obrzękłych dłoniach sznurek od dzwonka, za który ciągnął; zwrócił ku Grzesiowi bladą, nabrzmiałą twarz topielca i spojrzał nań zblakłemi, wychodzącemi z orbit oczyma. Grześ jęknął i zatoczywszy się, runął w głąb wodną.

Wacławowi Sawiczewskiemu.

Nie oszczędziła go zła ręka losu!
Zginał przedwcześnie, jak zerwany kwiat.
Ledwo z młodzieńczych piersi dobył głosu.
Rozległ się podziw — wtem schorzały padł,
Nie oszczędziła go zła ręką losu....

To też nikt więcej zazdrościć nie będzie
Tego, co zdobył swego serća krwią,
Więcej niedoli on już nie posiędzie,
Nie strwoży lisów o ich cząstkę lwią,
Zazna przyjaźni, skoro go nie będzie....

Śpij druhu! albo nas czeka za grobem
Ogromna przyszłość, albo ziemia ta
Jest bezcelowym przypadku wyrobem,
A życie fraszką, wartą mniej. niż łza....
Druhu, nie tęsknij do życia za grobem!

Tadeusz M.

Teatr Krakowski.*)

II.

Reżyserem teatru krakowskiego był do niedawna pan Solski. Obowiązkiem reżysera jest dobrze wystudyować sztukę, rozdzielić role między artystów i to w ten sposób, aby typ przedstawiony w sztuce znalazł swego wykonawcę, któryby i swoją indywidualnością i rodzajem swego talentu najwięcej się do tego typu zbliżał. Na czytanej próbie, reżyser daje wyjaśnienia co do samej sztuki. Artyści w domu się uczą swoich ról i następuje pierwsza próba t. z. sytuacyjna. Ryżyser winien w domu już mieć plan sytuacyjny, gdzie drzwi, gdzie okna, meble i t. d. ustawić i jak osoby grające się grupować mają. W czasie trwania następnych prób wiele rzeczy się zmienia, całe sytuacye przeistarza, ale szkielet tego, plan cały reżyser już mieć powinien. W sztukach stylowych i historycznych sprawa jest o wiele trudniejsza, bo trzeba i odpowiednie do epoki dekoracye, meble i kostyumy dla artystów obmyśleć i wyszukać, czasem przyjdzie dać artyście pewne wyjaśnienia co do tekstu samego, co do charakteryzacyi i ruchów nawet.

Tu nietylko pracy potrzeba, ale i wiele posiadać erudycyi i spory zasób wykształcenia historycznego i fachowego. Sama praca reżysera jest wielka, żmudna a przy tem reżyser zwykle sam gra w sztukach i to dobre role; gdzie czas wziąć na to wszystko?

Pan Solski urząd ten do 1 kwietnia prowadził. Praca jego ograniczała się do wyznaczenia dekoracyj i mebli i usytuowania ich na scenie. Rutyna i doświadczenie artystów dokonały, że sztuki szły — zresztą choćby pan Solski chciał co więcej zrobić, nie słuchanoby go prawdopodobnie, bo władzy mu nie dano. Pan Solski powiedział jakoś to pójdzie i... szło. Obecnie od 1 kwietnia niema reżysera i także... idzie.

Tego rodzaju rządy wprowadziły ogólny rozstrój w wewnętrznej machinie teatru. Ospałość i odrętwienie wloką się po kątach zabrudzonej sceny, nawet zawiść i intryga — konieczne siłą sytuacyi — nie budzą się z letargu i nie wlewają życia w drzemiącego potwora. „Byle zbyć!" to hasło pół-rządców — „byle się pozbyć" — smutna dewiza artystów-rzemieślników. I tak idą próby. Nudne, długie — raczej zebrania towarzyskie, aniżeli praca.

*) Patrz dodatek do Nru 97.

Nikt nie gra, wszyscy tylko odrabiają swoje zobowiązania ufni w rutynę, która reszty dokona. O informowaniu artystów reżyser, zajęty albo swoją rolą albo następnie mającą być wystawioną sztuką, nie myśli, czasem tylko uspakaja niegrających w tej chwili i głośno rozmawiających artystów. Młoda artystka lub artysta, którzy nie wiedzę nawet jak się poruszyć mają na scenie, puszczeni samopas po kątach informują się u jakiegoś starszego „kolegi“, który nie ze złej woli ale raczej z nieświadomości sytuacyi najbłędniejsze daje objaśnienia. Adept, własnemu konceptowi zaufawszy, wieczorem robi głupstwa, za co odpowiednią dostaje naganę.

Są jednak sztuki tak grane w Krakowie, tak wyreżyserowane, tak wykończone w każdym szczególe gry artystów, jak i ze strony dekoracyjnej, że w pierwszorzędnym teatrze nie możnaby lepiej wystawionej sztuki widzieć — lepiej granej wymagać.

Niestety są to przeważnie rzeczy z poprzednich sezonów. W tym sezonie sztuk takich było niewiele. W tych sztukach znać, że wprawna ręka niemi kierowała.... sztuki te po największej części prowadził sam dyrektor Pawlikowski. Ale zdarzają się też sztuki tak nieumiane, tak niewypróbowane, że najrzadziej w teatrze bywający widz poznaje błędy, czuje, że coś się rwie, coś nie jest w porządku. Czasem sufler bardzo głośno mówi, publiczność i artyści go słyszą, jednak tych dwóch, czy dwoje, na scenie musi się chwilę zastanowić, kto z nich to ma powiedzieć. Albo te śmiechy na scenie! cóż to za kpiny ze sztuki i publiczności!

Smutne te stosunki tak demoralizują, że np. dla stałych członków sceny naszej plagą staje się to, co gdzieindziej ożywieniem jest, nauką — gość na występy przybyły. Wtedy wyciąga się działa cięższego kalibru, poważny repertuar, a ponieważ gość przyjechał z całym zapasem doskonale wyuczonych ról i ponieważ gość co dzień coś nowego grać musi, więc reszta artystów schodzi do roli dekoracyi, na tle której gość zajaśnieje. O wyuczeniu się ról, o wystawie mowy być nie może. Kreśli się całe sceny, nagina sytuacye, aby tylko gość się lepiej wydał.

Że artyści na tej gospodarce jak najgorzej wychodzą, to rzecz prosta. Kazano im być rzemieślnikami, ulegać kaprysom, żyć bez programu, bez możności rozwoju talentów, bez jutra. Kilkunastu artystów gra ciągle, reszta odpoczywa i albo tylko w sztukach starych gra, albo z konieczności wyciąga się ich jak zastarzałe sprzęty na razie potrzebne. Pan Mielewski grał do 1. kwietnia 145 razy, pan Śliwicki 130, pan Solski 112 razy a pan Kotarbiński 23 razy, pan Trapszo 24 razy, pan Zboinski 80 razy, zaś pp. Zawadzki, Sobiesław, Morska, Paszkowska? Pierwsi przeciążeni są pracą, nie mają czasu na porządne wystudyowanie swoich ról, ci drudzy obojętnieją dla teatru, należą do malkontentów, tracą zapał.

(C. d. nast.) *Maska.*

Z drukarni Narodowej F. K. Pobudkiewicza w Krakowie.